

DEKADA Literacka

Dwutygodnik
Kraków

Czapski – Artysta spełniony ■ Polemiki: Maria Niemojowska, Krzysztof Koehler ■ Wojciech Ligeża o Marcie Wyce ■ Julian Komhauser o Stanisławie Barańczaku ■ Roman Stefanowski: Krakowski Kołomyiak

O KRYTYCE LITERACKIEJ I NACJONALIZMIE

c.d. rozmowy z **Alfredem Łaszowskim**

Który z krytyków lat międzywojennych najbliższy był Pańskiemu widzeniu zadań krytyki literackiej?

Genialny Stefan Napierski, niesłusznie dziś zapomniany. Najwrażliwszy krytyk, jakiego w życiu spotkałem! Człowiek o nieprześcignionym uroku osobistym, ożeniony z siostrą Juliana Tuwima, znakomicie urządzony. A w gruncie rzeczy samotny i nieco egocentryczny histeryk, ulegający kolejnym atakom złych przeczuć i katastroficznych manii prześladowczych. Rozstrzelany przez Niemców w Warszawie, dawniej właściwie nie wiedział, czego się tak strasznie boi. On ciągle przed czymś czy przed kimś uciekał. Co kilka miesięcy zmieniał zawsze dlań zbyt hałaśliwe i piekielnie go denerwujące, nieodpowiednie dla niego mieszkania. Już wtedy Napierski doświadczał poczucia straszliwej obcości w istnieniu i nie mógł się z żadnym wnętrzem oswoić. Nigdy nie czuł się kimś, kto jest u siebie w domu. Nie rozumiał, czego się lęka i chciał, żeby mu to ktoś wytłumaczył, ale żaden psychiatra nie zdołał go z tego wyleczyć. A poeta umierał co dzień, od lat! Te „chorobliwe przywidzenia” i „histeryczne” obsesje lękowe sprawdziły się nieomylnie. Chociaż Napierski II wojny nie przeczuwał i nie wyjechał z kraju, to jednak z dawien dawna wiedział, że szybko zmierza do końca, i nasze perswazje nic mu nie pomogły. On nie mógł ruszyć się z miejsca. Był kimś przykutym do ziemi, która go pochłonęła, zanim się zdołał od niej oderwać.

Na czym polegała oryginalność krytyki Napierskiego?

On stawał się poetą, o jakim pisał jego własnym niepowtarzalnym językiem. Wpadał w trans i całkowicie się z nim utożsamiał. W samym rdzeniu wiersza odkrywał przebieg procesu twórczego, a więc to, co można by nazwać genezą i pierwszą przyczyną powstania utworu, dynamiką jego błyskawicznego rozwoju i wzrostu. Dla niego nie był ważny temat, ale sposób ujęcia tematu. Sam akt rozbicia atomu energii estetycznej absorbował go niemal bez reszty. Od niego nauczyłem się chyba najwięcej. Teraz już wiem, o co chodzi i do czego się ten zabieg poznańczy sprowadza.

Spośród Pańskich nauczycieli warto też chyba wymienić Karola Irzykowskiego i Juliana Przybosa. Ten ostatni

był nim w sensie najzupełniej dosłownym, prawda?

Tak. Przybos przez pięć lat kształcił mnie bardzo gruntownie w Cieszynie. Miał tam kilku swoich świetnych uczniów takich jak najzdolniejszy spośród nas Jan Szczepański, znakomity nowelista Kornel Filipowicz i niezmiernie wybitny, awangardowy reżyser Zdzisław Nardelli.

Przybos pracował głównie z nami. Naprawdę obchodzili go ci, co chcieli się przy nim i dzięki niemu rozwinąć. Jego wykłady przeznaczone były właściwie dla tych kilkunastu najlepszych! Do nich się zwracał przede wszystkim, a innymi nigdy się specjalnie nie interesował. (...) Miałem szczęście znaleźć się w małym zespole ludzi osobiście mu najbliższych. Przybos czytał z nami utwory starannie przez siebie wybrane, w szkole i poza szkołą. Nie ulega wątpliwości, że w jego osobie poeta ściśle zjednoczył się z pedagogiem doskonałym, niezwykle troskliwym i wymagającym. Nie narzucał nam swoich poglądów i ocen, ale wręcz przeciwnie: szukał twórczego dialogu, nawet dyskusji i sporu z uczniami. Nic go tak nie cieszyło jak gra argumentów i różnica zdań. Dialektyka była jego pasją i namiętnością. Jedynie wyniosła obojętność wobec „notorycznych” głupców czyniła go w ich oczach kimś nieprzystępnym i obcym.

Co Pana najmocniej intrygowało w poezji Przybosa?

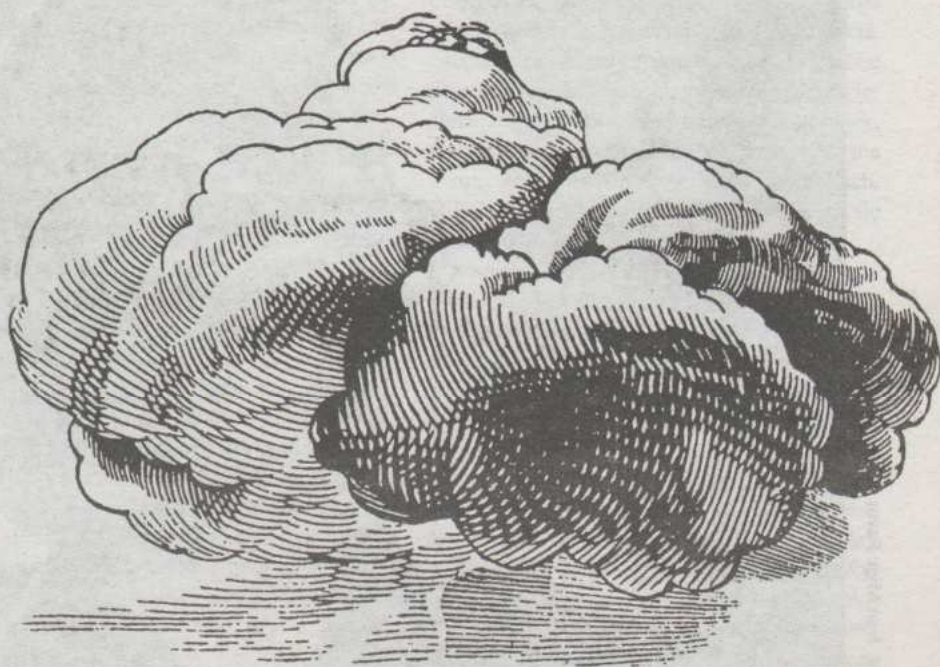
To, że krajobraz był dla niego wcieleniem Absolutu! On żył tą obsesją, że idzie naprzeciwko chmur, przebija się przez nie na drugą stronę krajobrazu i nagle rozdziera zasłonę, która oddziela go od istoty rzeczywistości w zasadzie dla nas niewyraźnej.

Podążyłem tam za nim. Wiem, że ten nasz szturm do szczelnie zatrzęsniętych bram hermetycznie zamykającego nas w sobie horyzontu za naszego życia nigdy się nie skończy, bo my tu codziennie rozwiązujemy równanie z wieloma niewiadomymi i po tym się ten nasz kierunek dążenia poznaje. Przybos naznaczył nas mocno i trwale, jemu najwięcej zawdzięczam.

Przybos otworzył nam oczy na to nowe stulecie rodzącej się cywilizacji elektronicznej. A w jej łonie „wszystkim steruje Błyskawica”. Instrumentem maksymalnie przyspieszonego rozwoju jest laser sięgający do wnętrza wszechrzeczy, czyli to, co jest zawarte w tytule jego świetnego tomu poezji *Narzędzie ze światła*. Był cały zdaje się być nim do głębi przejęty, a o jego naturze stanowi promieniowanie.

Tę prawdę przeczuł już Plotyn kilka tysięcy lat temu, lecz dopiero teraz znalazła się

Josif Brodski



W Anglii

Dianie i Alanowi Myers

I. BRIGHTON-ROCK

Powracasz sina barwo zmierzchu. Kredowe skały Sussexu tracą w morzu woń suchych traw i cały długi cień, niby zbędny przedmiot. Morze spod pokrywy sfalowanej wyrzuca na ląd szum przypiływu z resztką ultramaryny. Nadmiar wody tworzy w połączeniu z nadmiarem mgły na tle przestworzy ostre zarysy świątyń, iglice, skalne złomy i ten zmierzch letni siny, jak ryba prosto z wody. Przytomnieję. W zaroślach brzmi koloratura beztroskiej makolągwy. Linia horyzontu z chmurą, jak wyprana koszula na sznurze, a tankowiec tak przebiera masztami, jak mrówka, kiedy człowiek przewróci ją na plecy. Wyłania się z mroku pamięci jakiś numer telefonu — oko sieci podarte. Bryza owiewa policzek. Martwa fala nerwową szczapę do snu kołysze i chłoszcze równocześnie bok zdrętwiałej łódki. W środku życia gdy długie, lub pod koniec gdy krótkie, skłonność do fal wynika nie z chęci kąpieli, lecz z podobieństwa barwy nieludzkiej topieli do oczu z ich spojrzeniem bez mrugnięcia, długim, tak jak dwie krople wody. Jak milczenie do papugi.

ALFRED ŁASZOWSKI jest jednym z ostatnich żyjących przedstawicieli wielkiego pokolenia literackiego, zwanego pokoleniem 1910. Urodzony w roku 1914 debiutował w 1935 r. na łamach prasy literackiej jako eseista. Znany przede wszystkim jako krytyk literacki, autor powieści historycznych.

Triumfalny powrót Józefa Czapskiego* wyprzedził Jego odejście zaledwie o dziesięć miesięcy. Dożywającemu swej starości artyście udało się jeszcze zobaczyć — oczyma innych — swoją wielką wystawę w Muzeach Narodowych w Krakowie, Poznaniu i Warszawie. Krakowska Akademia Sztuk Pięknych zdążyła jeszcze nadać Mu tytuł Honorowego Profesora tej Uczelni. „Dekada Literacka” zdążyła opublikować piękny szkic o tej kameralnej, a tak znaczącej w wymiarze symbolicznym uroczystości. Stanisław Rodziński, *Z Czapskim w Maisons-Laffitte*** uczeń i przyjaciel artysty wskazuje na

zbieżność tego wydarzenia z innym, o skali międzynarodowej — ujawnieniem (w dwa dni później) akt zbrodni katyńskiej, której Czapski, jeden z nielicznych ocalonych, był przez dziesiątki lat nieugiętym świadkiem. Śmierć najbliższych osób zastaje nas zwykle w poczuciu niedopełnionych wobec nich powinności. W przypadku Józefa Czapskiego zdążyliśmy zaledwie o włos.

Okoliczność sama podsuwa słowa patosu, ale przecież nie sposób nie myśleć o nagrodzie za cierpliwość i wierność. Jak trudna była to postawa, świadczą pisma Czapskiego, jego artykuły i eseje, listy, słynny *Dziennik* zapisywany przez dzie-

siątki lat w oprawionych w płótno zeszytach (czy doczekamy się pełnej jego publikacji?). „Kiedy myślę o Tobie — pisał do Czapskiego śmiertelnie chory Jean Colin — zdaje mi się, że jesteś wierny czemuś znacznie trudniejszemu niż choroba”. Czapski był artystą, który walczył o swoje powołanie, na przekór doświadczeniom życia i niewierze, własnej i tej z zewnątrz. Do kluczowych anegdot z historii polskiego malarstwa XX wieku przejdzie wciąż przypominana przez Czapskiego opowieść o wizycie kolegów kapistów w Jego paryskiej pracowni. Bardzo „Józia” lubili, był im w Paryżu nadzwyczaj pomocny,

ale malarza zobaczyć w nim nie chcieli i nie potrafili.

Tym bardziej inni — w stylu Zbyszewskiego — którzy po dziś dzień wywyższają w Czapskim człowieka i pisarza ponad malarza. Autor *Zagubionych romantyków*, który szczególnie kąśliwie wyrażał się o malarstwie paryskiego twórcy, pisał wręcz — na jego przykładzie — „że Polak, obojętne, artysta czy polityk, nie jest z natury wszechstronny”.

Czapski wymknął się jednak tym — tak bardzo po polsku zaściankowym — ograniczeniom, które raz po raz wyrastały, broniąc (na szczęście nieskutecznie) pełnego uczestnictwa w kulturze. Jeśli 97-letni artysta mógł powiedzieć Miłoszowi na krótko przed śmiercią, że „jest bardzo szczęśliwy”, że zrobił w życiu to, co do niego należało, to również dlatego, że znalazł — coraz bardziej poszerzające się — grono odbiorców, którzy potrafili widzieć Czapskiego „scalonego”.

Z całą pewnością wspólnym mianownikiem osobowości Czapskiego było jego zaangażowanie moralne. Jak pisał Kierkegaard: „Malarz bez świadomości etycznej jest tylko dekoratorem”. Ta perspektywa pozwoliła Czapskiemu przezwyciężyć feeryczny estetyzm kolegów kapistów i stworzyć własną formę i własną treść; malarz wyraził ból i piękna istnienia. Ludwig Wittgenstein, łącząc etykę i estetykę *modo philosophico*, uważał, iż „dzieło sztuki polega na zobaczeniu przedmiotu *sub specie aeternitatis*; i tak samo dobre życie polega na widzeniu świata *sub specie aeternitatis*”. Czapski stworzył niejedno z arcydzieł współczesnego malarstwa. Czapski był — mówią o tym wszyscy, którzy go znali — bardzo dobrym człowiekiem. Uczył siebie i nas widzieć „w materii niepozornego życia” to, co najistotniejsze.

Anna Baranowa

* Por. mój artykuł *Powrót Józefa Czapskiego*, „Dekada Literacka” nr 13, 1-15 VII 1992, s. 10.

** „Dekada Literacka” nr 24, 16 XII 1992-15 I 1993, s. 7.

CZAPSKI-ARTYSTA SPEŁNIONY



Fot. Jean Marc Payot

«CZASEM CZUJĘ NIECHĘĆ DO WŁASNYCH WIERSZY»

Wydawnictwo Znak w stylu Czytelnika i innych oficyn zajmujących się propagowaniem wyszukanej poezji i literatury stara się w sposób niekonwencjonalny reklamować najlepsze książki i autorów.

Ostatnio Oficyna Znak wspólnie z Klubem Jagiellońskim zorganizowała w Kameralnej Galerii Piano Nobile spotkanie promocyjne książki JULII HARTWIG *Czułość* (16 grudnia 1992). Przybyła na nie sama znakomita autorka.

„Nigdy nie rozstrzygniemy — powiedziała m.in. Julia Hartwig — czy pisanie wierszy to jest sprawa chlubna, czy też mniej chlubna. Taka niechęć do własnej twórczości jest również we mnie. Nie jestem nawet pewna czy ja te swoje wiersze naprawdę lubię i czy są one pełną wypowiedzią mojej osobowości. Zastanawiam się nad powodami niezadowolenia z siebie. Istnieje niewątpliwie nierównowaga w naszym stosunku do rzeczywistości. Z jednej strony, identyfikujemy się ze światem, z drugiej tworzymy coś zupełnie nowego i chcemy się od niego (świata) odebrać. Powstaje z tego jakaś bardzo niejasna mieszanka.

Być może niezadowolenie płynie również stąd, iż artysta czuje swoje uprzywilejowanie, będące wynikiem tego, że

zajmowanie się sztuką jest pracą bezinteresowną. Poza tym, jeśli artysta tworzy, musi posiadać wolny czas, który można na tę twórczość spożytkować. Stąd poczucie bycia nie w porządku wobec społeczeństwa, wobec ludzi, którzy są nieustannie zajęci.

Niewralicznym punktem każdej sztuki jest jej stosunek do rzeczywistości. Jeśli miałabym się zwierzyć, to jest mi bliskie zdanie Jacka Kerouaca: *Pisz tak, żeby każdy wiedział, co masz na myśli*. To oczywiście za mało, lecz jest to jedna z dewiz, którym służę. Choć wiem oczywiście, że pewne niedopowiedzenie jest zawsze w poezji obecne, nawet konieczne.

Dążę w mojej poezji do jasności przekazu. Staram się ją osiągnąć z pomocą prze-

zroczystej składni, co ogranicza zapewne nowatorstwo językowe, ale myślę, że oszczędza mi też pewnego bałamuctwa.”

Poetka odpowiadała również na pytania publiczności.

— Czy zgodzi się Pani z sądem, że obecnie poezja zajmuje w życiu człowieka coraz mniej miejsca?

— Chyba jest niezupełnie tak. Myślę, że poezja w naszym wieku manifestuje się przez bardzo wiele dziedzin. Jej „duch” jest obecny choćby w niektórych filmach — np. u Felliniego czy Bergmana.

— W Pani wierszach wydaje się być obecny wyraźny nurt rozpaczny...

— Prawdę mówiąc, nie widzę tam akurat rozpacz. Jest to raczej po prostu dostrzeżenie dramatyzmu życia, może nawet potraktowanego z pewnym dystansem. Jest to chyba zrównoważone przez ocenę, którą można by oddać słowami Beattlesów: *What will be — will be*.

— A jednak krytyka dostrzega w Pani twórczości obszar niepokoju, ciemności. Czy nie istnieje sprzeczność między nim, a postulowaną przez Panią jasnością poezji?

— Jasność jest dla mnie ważna przede wszystkim w dziedzinie samego przekazu. Sądzę, że nawet sprawę „ciemną” można sformułować stosunkowo jasno.

— Czy jest coś, czego Pani zazdrości innym poetom?

— Bardzo wielu rzeczy: m.in. zmysłu humoru, który rozjaśnia wszystkie, nawet najbardziej mroczne zakamarki wersów.

— Co Pan sądzi o poezji najmłodszej?

— Dość dużo czytam wierszy młodych poetów. Jest to poezja wrażliwości, poe-

zja, która hoduje własną wrażliwość i szuka dla niej drogi ujścia. Wydaje mi się, że jeśli rzecz ogranicza się tylko do zapisywania własnej wrażliwości, to jest to objaw pewnej niedojrzałości. Młodej poezji często brak jasnej świadomości tego, czego właściwie się od poezji chce.

Puentą spotkania była wypowiedź Julii Hartwig dotycząca prezentowanego tomiku wierszy *Czułość*. „Staszek Barańczak — skomentowała poetka — po przeczytaniu go, zwrócił mi uwagę, że „czułość” to nie tylko uczucie, ale także wierność zapisu — mówi się przecież o czułości błony fotograficznej. I rzeczywiście — wydaje mi się, iż jest to prawdziwe spostrzeżenie.”

Notował: Andrzej Franaszek

Tekst spisany z taśmy magnetofonowej, nieautoryzowany.

Sprostowanie

W wywiadzie z Wiesławem Borowskim (*Potrąfimy się kurczyć*, „Dekada Literacka”, 16 XII 1992-15 I 1993, s. 15) pojawił się przykry błąd drukarski, którego ofiarą stał się nieoceniony (jest: nieceniony) Stanisław Balewicz — współtwórca Grupy Krakowskiej i długoletni dyrektor Krzysztofów. Panie Stanisławie, pamiętając o Pańskich zasługach, jeszcze raz przepraszamy.

(red.)

16 grudnia 1992 roku

zmarł w Krakowie

Wacław Kubacki

profesor UJ, historyk

i krytyk literatury,

pisarz i dramaturg.

w centrum uwagi wchodzących w życie pokoleń. Nic nie wpływa na nas gwałtowniej i mocniej niż te wszechobecne i przenikające nas aż do samego rdzenia, wibrujące wokół fale elektromagnetyczne! Ich sposób oddziaływania na poszczególne organizmy ludzkie jest zróżnicowany, u jednych wywołuje przedwczesne zużycie i wyczerpanie systemu nerwowego, a innych wprawia w stan ekstatycznej i lawinowo narastającej, bezustannej euforii twórczej.

Taki człowiek wie, że wszystkie żywoły świata są w znowie z jego krwią i odkrywa w sobie boski nadmiar nieznanego mu bliżej energii, której ma tak wiele, że nie potrafi jej w zbyt ciasnych granicach osobowości małego formatu pomieścić. Ten nowy bohater, poczęty w erze Wodnika, dysponuje olbrzymim potencjałem mocy sprawczej. Rozwala i unicestwia dogorywające dziś na naszych oczach najzupełniej bezradne ustroje i ideologie.

Jaka jest Pańskim zdaniem aktualność dawnych haseł awangardy krakowskiej? Co pozostało ze słynnej triady „miasto, masa, maszyna”?

To bardzo ważne pytanie. (...) Weźmy pod uwagę pierwszy punkt naszego programu, to znaczy bezpośrednio otaczające nas miasto, będące dziś ową przysłowiową „bombą smrodu” i zbiorowiskiem tych trupich bloków geometrycznych, nieublaganie posuwających się naprzód w szeroko otwartą przed nimi głąb horyzontu dławiącego się w rudawych chmurach trującego dymu, na tej doszczętnie już wyjałowionej ziemi, chrypiącej czarno wypalonym żużlem i popiołem.

Na tym asfaltowym podłożu, zalatującym smołą pogazowa, panoszy się wielkomięskie mrowie anonimów, wdychających ten zżerający je czad rakotwórczy. Ów kamienny i bezduszny stwór zionie nudą zakłęta w betonie i wyzwala paroksyzm odrazy i obrzydzenia do bytu. (...) Człowiek spod znaku dwóch zer stworzył najgorsze w świecie otoczenie, w którym nie może wytrzymać. Ten uboczny produkt konającej tu, na naszych oczach cywilizacji wegetatywno-neurastenicznej, staje się tym, na co patrzy i czym bezustannie oddycha. Wyhodowaliśmy ohydny gatunek ludzi zrobionych z kamienia, zaś urbanistyczna znieczulica poraziła ich już ostatecznie. (...) Ta bezprzykładna dewaluacja najgłębiej poniżonego tu przez nas gatunku jest grzechem wołającym o pomstę Boga.

Rozumiem, że nie o takie miasto walczyła awangarda. Jaka jego wizję przeciwstawiała temu ponuremu obrazowi?

Zacznijmy od tego, że Przyboś bardzo źle zakorzenił się w Warszawie. Czuł, jak go tu stopniowo pustoszą i wyjałowiają psychicznie owe rozległe, szarozółte równiny piaszczyste. (...) Poeta z innych stron nie mógł patrzeć na te rachityczne i karłowate, mocno przetrzebione laski, stratomane do dna okolice, chrupiące szkłem rozbitym, żużlem i popiołem. Z tym ohydnie zbeszczeszczonym i wykastrowanym pejzażem, martwym już do końca życia, nie chciał się duchowo sprzymierzyć. Nieraz wyznawał mi skrycie, że coś go z wielką siłą od tej kamiennej pustyni odrzuca! (...)

Przyboś wychowany w kulcie miasta, masy i maszyny popadł tu w straszną duchową rozterkę. Zawsze twierdził, że człowiek odbija się w rzeczach naznaczających go mocno i trwale. Zdawało się, że został on znakomicie przygotowany do tego, by pojąć i zaakceptować nieubłaganą logikę rozwoju tej surowej i nagiej, funkcjonalnie zdeterminowanej architektury współczesnej. Przecież nasze pokolenie było uformowane w szkole Corbusiera, a on podniósł użyteczność do godności najwyższej zasady kształtującej powierzchnię brył geometrycznych. Nikt nie mógł przewidzieć, że ta idea, zdeformowana przez notorycznych partaczy, porazi nas swą bezdusznością. (...)

Przyboś miał w oczach zupełnie inną wizję Metropolii. Uważał, że nowoczesna, przejrzysta i lekka budowla powinna rozpląnąć się prawie i zniknąć w kulistej

O KRYTYCE LITERACKIEJ I NACJONALIZMIE



Alfred Laszowski

pełni przestrzennej, stanowiąc jedynie współczynnik drgania powietrza i światła.

Mieszkanie w zewsząd zamurowanym grobowcu to przesąd. Im mniej martwych ścian dookoła, tym lepiej. On chciał zamieszkać w otoczeniu czterech wielkich okien błyskotliwie otwartych na wszechświat! Wiedział, że styl w architekturze powstaje właśnie wtedy, kiedy odpowiada aktualnie determinującym go z góry i z dołu proporcjom nieba i ziemi. (...)

Dom jest funkcją urody krajobrazu lub czymś co go ohydnie zniekształca. Szukając elementów poezjotwórczych Przyboś zachwyił się rzeczywistością pionierską i niesłychanie odkrywcą koncepcją profesora Oskara Hansena zrodzoną z myślą o tym, by nowoczesność pojęta symbioza natury i techniki miejskiej osiągnęła stan pełnego i harmonijnego współbrzmienia dzięki świadomemu wyeliminowaniu 19-wiecznej płaszczyzny dramatycznych tarć i zupełnie niepotrzebnych zakłóceń prawidłowości rytmu biologicznego. (...)

Dziś wiemy, że najwyższym powołaniem architektury i sztuki poetyckiej jest kształtowanie przestrzeni. Artysta niezdolny narzucić swojej wizji światu przestaje być ludziom potrzebny.

Wiele uwagi poświęca Pan analizie zagrożeń współczesnej cywilizacji. Czy Pana zdaniem świadomość ich była wyczuwalna przed wojną?

Owszem! Śląsk dymił potężnie! Górnicy pracowali w warunkach koszmarnych! Umierali młodo, a nieuleczalna 70 lat temu gruźlica zżerała płuca ludzi z suteryn i przedmieść. Bezrobocie w okresie wielkiego kryzysu o wiele mniejsze niż teraz stało się dla nas prawdziwą plagą społeczną.

Nie można więc gośloślownie upierać się przy tym, że myśmy się z tym wcześniej nigdy nie zetknęli, bo to nieprawda. Nic nie spadło na nas nagle i niespodziewanie. „Upiomy nonsens polskich dni” nie narodził się przecież z dnia na dzień.

Annopol — śpiewające miasto — taki był tytuł znanego reportażu o tysiącach bezdomnych nędzarzy śpiących pokotem w naprędkie skleconych dla nich barakach na dalekim przedpieklu Warszawy w pobliżu olbrzymiego wysypiska śmieci, ruder i dołów kloacalnych. Przypominam też fragment piosenki ludowej zacytowanej przez Peipera w jego poemacie *Na przykład*, który powstał w tych dniach, gdy torturowano posłów uwięzionych w twierdzy brzeskiej. Ta piosenka brzmi tak:

„Kraj jest taki bogaty / mamy zboże i kwiaty. Mamy żelazo i miedź. A my ciągle musimy / bać się lata jak zimy / Bo nie mamy gdzie spać, Co żreć...” Jak z tego widać wszystkie najgorsze cechy zbrodniczej epoki idiotów ujawniły się już w dwudziestoleciu międzywojennym w swym pierwotnym stadium embrionalnym i temu nie sposób zaprzeczyć. Ci, co się odbili od dna pierwszej wojny światowej, unurzani w błocie i we krwi okopów spędzali najlepsze lata w wilgotnych, cuchnących ziemiankach, aresztach i kazermach. Ojcowie nasi poznali prawdziwe oblicze Historii, tej, co stała się w ich oczach kroniką rzezi i mordów.

Myśmy za wszelką cenę chcieli się od tej morderczej obsesji wyzwolić. Peiper przestawiał „Zwrotnicę” i porwał nas za sobą w głąb nowego wymiaru istnienia z wielką siłą nikomu z nas dotąd nieznaną. Z łona awangardy wyszła ta nowa „radość wyobraźni”. Peiper wiedział, że „jest nas dzisiaj o tysiąc za mało. Lecz jutro nas będzie o sławę za wiele”.

Znienawidziliśmy polską nędzę i to najgłębiej nas poniżające ubóstwo. W tej dobie przekląć nam wypadło wszystkich fałszywych proroków i wodzów wiodących nas na zatracenie. Przyboś bezlitośnie wyszedł i wykipił duchowo nam obcy kult postawy męczeńsko-cierpiętniczej. Stał się pogromcą patosu, a w tym ciągłym biciu w bęben wielkich słów wyczuł zapowiedź największego oszustwa wszechczasów. Mieliśmy dosyć tej laksatywy liryczno-heroicznej.

Przeczucie narodzin twórczego stylu życia wyniosło nas bardzo wysoko, ponad tę dogorywającą i rozkładającą się żywcem współczesność, prowokującą zbiorowy odruch bluźnierczej i wyzywającej drwiny i pogardy.

Skąd się brała wasza wiara w technikę?

Z biegiem czasu literaci utwierdzili się w przekonaniu, że umieją nie tylko przewidywać, lecz nawet i zaprojektować przyszłość. Ich wiara w trafność własnych prognoz i diagnoz poznawczych ogromnie się umocniła i wtedy odkryli w sobie niezwykłą moc dziejotwórczą. (...)

Karol Čapek przewidział niemal bezbłędnie erę zwycięskiej inwazji tych wyręczających nas zawsze i wszędzie robotów i automatów. I ten szczególnie doniosły moment wyzwolenia wszechobecnej i chemicznie czystej, bajecznie taniej energii, powszechnie dostępnej dla wszystkich w nieskończenie rozrzuconym nadmiarze. Powieść *Fabryka Absolutu* zapłodziła naszą wyobraźnię. Przemyśleliśmy jej konsekwencje praktyczne aż do samego końca po linii ciągów dalszych, gdyż zależało nam na tym, by odróżnić fantazję od rzeczywistości i skontrolować ten rzut perspektywiczny na twardym gruncie już istniejących możliwości techniczno-organizacyjnych. (...)

Technika więc wprawiała w ruch olbrzymie koło napędowe mowy! To ona zmobilizowała wyobraźnię wchodzących w życie pokoleń. Dla nas stała się ona potężną dźwignią rozwojową!

W tej dobie poezja i proza zaczęły rywalizować ze sobą w dziedzinie poszukiwania nowego stylu i sposobu życia, które przybrało zupełnie nową postać, dotąd nam bliżej nieznaną. Myśmy się chyba najwcześniej zorientowali w tym, że los i przyszłość ludzkości zależy właściwie od tego, czy w samą porę zdołamy ustokrotnie potęgę działania naturalnych sił przyrody, zdolnych całkowicie nasycić nasz głód i pragnienie posiadania niezbędnych dóbr materialnych. Dla nas w tym wieku nie było sprawy Ważniejszej... Pasjonowała nas filozofia energii, bo do tego się wszystko sprowadza. To jest źródło najpotężniejszej energii twórczej. Nie tylko dziś, ale zawsze...

Rozmawiał: **Maciej Urbanowski**

DOKOŃCZENIE
W NASTĘPNYCH NUMERACH

II. PÓLNOCNY KENSINGTON

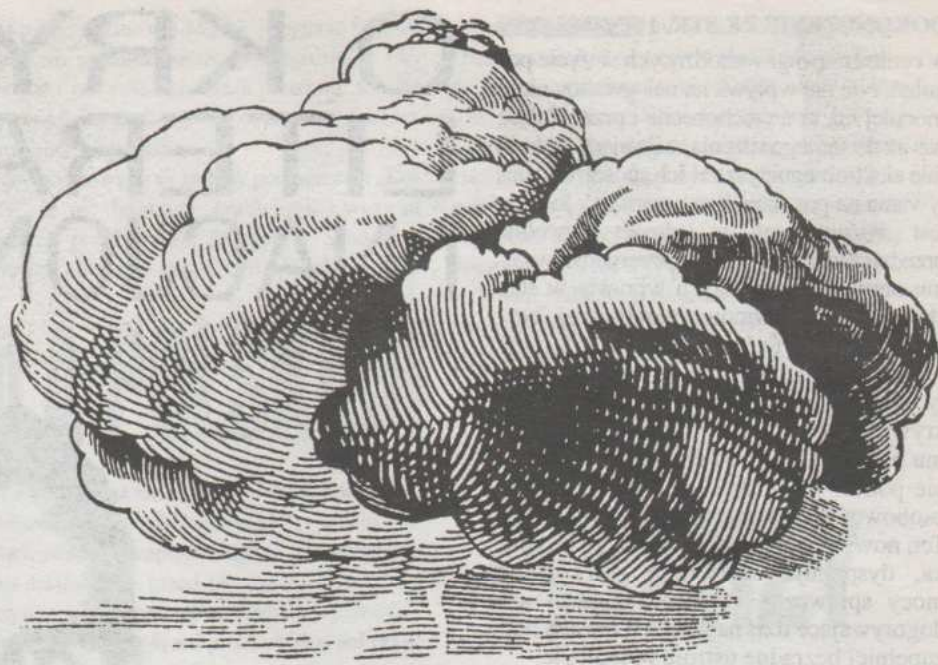
Szmer „Czasu Irlandzkiego” — wiatr gonił go przez dni kilka po szynach, aby porzucić w zajezdni. Szum suchego piołunu, co szedł z jesienią w zawody: obok ceglanych działek mlaska szary język wody. Jakże kocham te dźwięki — bezsensownego co prawda lecz toczącego się życia — do których nie można od dawna nic dodać oprócz własnych ociężałych kroków z chrzęstem żwiru. I śrubą rwiesz się ku obłokom. Tylko mysz zdoła pojąć — na to liczyć można — urok pustkowi: rdzawej szyny, wyrwanego sworznia, drutów, kiedy niemożność wzięcia wysokiego C ustala i czasu przegranego w konfrontacji ze stałą. Nic się nie da naprawić do użycia raz jeszcze. Chyba zalać asfaltem lub wybuchem zetrzeć z oblicza ziemi, której nie dziwią grymasy betonu na stadionie pełnym rozwrzeszczanej masy. I zjawi się mysz. Wolno będzie się poruszać, wyjdzie na środek pola, mizerna jak dusza w porównaniu do ciała i wznosząc swój, jak się wydaje, oszalały ze strachu pyszczek, powie „nie poznaję”.

III. SOHO

Weneckie szkło objęte grubą, ciężką ramą odbija piękny profil damy z ciętą raną mówiących ust. Jej partner kontempluje wzór ściennych tapet, który po ośmiu latach zamienił się w *Sceny z wyścigów w Epsom*. Flagi. Dżokej w czerwonej czapce bierze ostatnie metry, finiszując na dwuletnim ogierze. Wiatr szumi. Wszystko się staje jednolitą plamą. Na trybunach się kłębi... — „nie odpowiedział tak samo na drugi list i wtedy postanowiłam”... Głos zanika, lecz wyraża zmagania, walkę czasownika z czasem niedokonanym. Dłoń smukła i młoda poprawia loki, które spływając niby woda nigdzie nie będą wpadać, tak jak nurty mnogich rzek. Osiodławszy swoje drewniane czworonogi przy stole z niedopitkiem, na cudzych prześcieradłach bohaterzy, co padli, dźwigują przy kandelabrach ku bramie w -skim zaułku, który śnieg zawalił. Flagi blakną. Wiatr cichnie. na brodach rywali krople wilgoci stają się dobrze widoczne. Trybuny nikną z pola widzenia... W porze nocnej lśni w bramie żółta lampa złocąc zaspy, szyby, jak chrupką skórę bułki. Jednak nawet gdyby ktoś przyszedł tutaj pierwszy, dzwonek nie zadzwoni. I podkowy cisawych albo siwych koni w rzeczywistej przeszłości — śladów, nawet dotarłszy do celu nie zostawiają na śniegu. Jak koń z karuzeli.

IV. EAST FINCHLEY

Wieczór. Masywne ciało cicho sunie w wąskiej alejce (gdzie dość nisko przycięto gałązki geranium oraz fuksji) jak krążownik w małym wiejskim kanale. Kredą powalany cały prawy rękaw ubrania, rodzaj zajęć zdradza tak jak słowa: „Gładiole oraz róże radzę podlewać mniej niż floksy, dalie i hiacynty, raz albo dwa w tygodniu” i przytacza cyfry z poradnika „Ogrodnik-amator” na stronie... i strofę z Wergiliusza. „Ziemia szybko chłonie wodę” i spuszcza oczy. W bawialni ogromnej, skąpo wyposażonej, celowo przestronnej



W Anglii

zona (druga) pasjansa — jak przystoi żonom — wyklada nucąc; to jest ulubiony Johna Galsworthy'ego „Pajaczek”. Na ścianie obrazek: mostek odbity w wodzie, budzący odrazę.

Każdy wyspiarz uważa, że prędzej czy później wszystko się skończy i że kran mu kiedyś chluśnie wodą, która ze słodkiej zmieniła się w słoń; nogę skrzypiącą żwirem i chrzęszczącą słomą przenikliwy skurcz zimna w czubku buta chwyta. W muzyce jest to miejsce, gdy zaczyna płyta obracać się odwrotnie, wbrew igle. Przy biurku nad kominem majaczy wypchana przepiórka, ciągle licząc na leśne, bezkresne wędrówki; w wazonie tkwi gałązka trzmieliny; pocztówka z niewyraźnym widokiem bazaru w Algierze — pstre tkaniny, brązowe dzbany i talerze; w tle wielbłądy lub jakiś górzysty krajobraz. Ludzie noszą turbany. Całkiem inni od nas.

Alegoria pamięci zaklęta w ołówku zawieszonym w powietrzu nad jakąś krzyżówką. Dom na pustej ulicy z góry spadającej — o zachodzie tam w szybach odbija się słońce, niby w oknach ekspresu pędzącego w wieczność, tam, gdzie koła są rzeczą zgoła niekonieczną. Miła sypialnia. Lalka na poduszkach puchnie śniąc koszmary. Herbaty woń dobiega z kuchni, szum palników rozkwitłych jak kwiaty złocieni. Na krześle siada postać rysując się cieniem jak masa fusów, gdy się od płynu oddzieli.

Pośród absurdu, strachu, nudy, beznadziei stoją za szybą kwiaty, jak wycinowane małe rzeczy foremne: z różą pod parkanem (jak znak nieskończoności ma ósemki, które chcą z kręgiem dalii wcisnąć się za rząd podpórek, jak rozwiany parowóz Boccioniego) z miętą, z tancerkami-fuksjami i nierozwiniętą georginią. Świat płynie spokojnie dlatego, że tu nikt nie zapyta: „A to co takiego? Coś ty powiedział? Powtórz!” — że echo, jak kuglarz do ucha od chińskiego muru tego wróbla zawróci niezawodnie; dlatego poza tym, że powiedziałeś jedno tylko słowo: „kwiaty”.

Josif Brodski

V. TRZEJ RYCERZE

W starej rotundzie opactwa, u stóp ołtarza z boku snem wiecznym śpią trzej rycerze połyskując w półmroku kaplicy, jak skamieniałe jesiotry skrzelami zbroi albo łuskami kolczugi. A przy tym wszyscy oni mają garbate nosy i widać, że rycerze od pięt po czubek głowy: hełmy, miecze, pancerze. Śpią dłużej niż czuwali. Mrok. Ręce są jak gdyby ułożone na piersiach dwie skrzyżowane ryby.

Po pstryknięciu aparatu jest błysk — rodzaj wystrzału (wszystko, co nas do przodu odrzucić by miało na ścianę przyszłości, można za wybuch uważać). Trzech nieruchomych rycerzy wewnątrz kamery powtarza to, co się kiedyś w przeszłości gdzieś dokonało — może w Poitiers, albo też w Ziemi Świętej: zmarły w Imię Boże Ojca i Syna i Ducha Świętego pewnie ocenia wędrowca w kanotierze gorzej niż Saracena.

Opactwo się rozłożyło szeroko nad rzeką. Kepy bujnych, zielonych drzew. Białe motylki lekko unoszą się nad chrzcielnicą, nad klombem konwalii. Chłodne angielskie południe. Chyba tylko w Anglii przyroda raczej koi, niż przyciąga oko; pod ścianą rotundy jak przed teatralną szeroką kurtyną, której podnieść nikt się nie ośmieli, oklasków głogu również na trzy nie można podzielić.

VI. YORK

W.H.A.

Motyle Północnej Anglii płasają nad lebioda pod murem martwej fabryki. A wtorek jest przed środą, po niej zaś czwartek itd. Niebo buchając żarem wypala pola. Woń miasta przypomina zleżale pasiaste sukno; z pragnienia schną dalej; słońce praży. I głos twój — „Znałem trzech wielkich poetów. Ale każdy z nich wielkim był sukinsynem” — zadźwięczał w moich uszach bardzo wyraźnie. Wstrzymuję krok, wolniej się poruszam,

oglądam się. Od twej śmierci w hotelu w Austrii niebawem upłyną cztery lata. Na przejściu nie ma nawet żywej duszy. Dachówki. Asfalt do nóg się lepi. Topole. Chester też zmarł, ale o tym wiesz lepiej, niż ja. Jak kostki na starych, zakurzonych liczydłach rozsiadły się wróble na drutach. Nic tak nie zmienia chyba znanego przejścia w zgęszczenie (kolumna przy kolumnie) jak miłość do człowieka; w tym przypadku szczególnie

gdy on nie żyje. Brak wiatru odporne liście zmusza, żeby sprężyły swe mięśnie, zaczęły się poruszać. Taniec motyli podobny jest do okrętu w burzy. Człowiek przynosi ze sobą problem mały czy duży w każde miejsce; i zgięte kolano będzie powoli zwiększać swym kątem rozwartym perspektywę niewoli.

Jak wszystko w ruchu do przodu. Jak klucz żurawi zresztą, gdy bierze kurs na Południe, znacząc przestrzeń powietrzną.

Wchłaniając światło słoneczne, mając wspólne podłoże z głogiem, pustka pod dotykiem powiększyć się może w stronę wyciągniętej ręki. Świat wlewa się, penetrując długą ulicę, którą inni zamieszkują.

W tym sensie on to Anglia. Anglia w sensie trwania dotąd jako Imperium, czyli że jest w stanie (jeśli wierzyć melodii wody i jej tonom wszystkim) władać morzami. Zresztą każdym środowiskiem.

W ostatnim czasie płacę się: to stroję miny do własnego odbicia w szybie mijanej witryny; kręcąc swój numer kładę słuchawkę; to znowu gdy zamknę oczy, widzę jak łódź ratunkowa tkwi nieruchomo pośrodku zatoki przede mną. Z budki telefonicznej wychodząc na zewnątrz słyszę szpaka, a w jego krzyku jakieś lęki. Zanim odleci, w powietrzu rozpląną się dźwięki.

Bliższy jest dla błękitu bezpostaciowego świat rzeczy lepiej w pustce widocznych dlatego, że cie tam nie ma. Próżnia stopniowo zapełnia cały miejscowy pejzaż. I owce zupełnie jak sucha piana się kładą na zielone faliste wrzosowiska w Yorkshire. Balet motyli artystek, podporządkowany smyczkom niewidocznym w cieniu, migocze nad kanałem, nie dając spojrzeniu

zatrzymać się. Pionowa łodyga wierzbowca dłuższa jest niż stara rzymska droga stąd biegnąca na Północ, już zapomniana gdzieś w Rzymie daleko. Odjawszy od mniejszego większe: od człowieka Czas — otrzymasz słowa widoczne na białym tle wyraźniej niż za życia udało się ciału, nawet gdy krzykniesz „chwytaj”, użyjesz ramienia. Tak się źródło miłości w jej obiekt zamienia.

VII

Angielskie wsie kamienne. W oknie karczmy leży butelka w kształcie katedralnej wieży. Stada krów, co nie mają respektu przed nikim. Królewskie pomniki.

Człowiek w ubraniu zniszczonym przez mole uśmiechem żegna córkę idącą na kolej. Tu wszystko dąży w stronę, gdzie morze jest bliższe. Konduktor gwizdże.

Bezkresny błękit nieba ponad głową pełen ptasiego śpiewu, ciemnieje stopniowo. Im donośniejsze tony ów ptak wyda, tym mniej go widać.

Tłumaczyła z rosyjskiego Katarzyna Krzyżewska

LITERATURA W SZKOLE

- wartości i manipulacje

Pod takim hasłem w krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej (30 listopada — 1 grudnia 1992) odbyła się sesja naukowa Katedry Literatury Instytutu Neofilologii, zorganizowana przez J. Prokopa i M. Gubińską, a sfinansowana z dotacji Ministerstwa Edukacji Narodowej. Temat konferencji prowokował referentów do poszukiwania odpowiedzi na ważne pytania: w jaki sposób w epoce PRL-u funkcjonowała literatura, jaki był jej status w obrębie całej kultury, a w szczególności w szkolnej dydaktyce? Starali się wyczerpująco odpowiedzieć na nie: E. Stawowy, J. Maciejewski, J. Pluta. Mówiono o konsekwencjach przyjęcia głównych tez realnego socjalizmu (E. Stawowy), programie szkolnym w erze gomułkowskiej (J. Maciejewski), literaturze jako szczególnej formie indoktrynacji (R. Mazurkiewicz, J. Pluta).

Interesujące dla zebranych doświadczenia szkoły ukraińskiej w okresie totalitaryzmu i sowyetyzacji przedstawiła Aleksandra Serbenska z Uniwersytetu Lwowskiego, natomiast program literatury rosyjskiej w szkole omówił Wasilij Szczużkin z UJ. Dopelnieniem tych rozważań były analizy (m.in. U. Dąbskiej, T. Kwaśnej, J. Falickiego), poświęcone francuskim podreżnikom, określanym jako „instrumenty lewicowej indoktrynacji”.

O ile pierwszy dzień sesji był spojrzeniem w peerelowską przeszłość — literacką i edukacyjną, o tyle w dniu drugim panelowa dyskusja toczyła się wokół problemów współczesnej szkoły. Tematy: *Literatura polska w szkole — czego uczyć i po co?*, *Szkola do Europy*, wywołały ożywioną dyskusję, w której oprócz referentów wzięli udział goście (m.in. B. Chrzastowska, E. Wiegandt, S. Wysłouch, S. Bortnowski). Zastanawiano się nad istotnymi problemami: jakie jest właściwie główne zadanie polonisty — uczenie analizy dzieł, czy też historii literatury, czy w szkole ma obowiązywać kanon lektur, a jeżeli tak, to kto ma o nim decydować, a może przyjąć całkowitą wolność w ich wyborze, jak w niektórych szkołach francuskich; jaka ma być proporcja w programach między tym co uniwersalne, a tym co partykularne? Sytuacja nauczyciela-polonisty we współczesnej dobie telewizji i video jest dość skomplikowana. W jaki sposób ma on zachęcać młodego człowieka wpatrzonego w szklany ekran do czytania, i czy tylko to cudo techniki schyłku XX wieku, a nie zwyczajny brak czasu, wynikający z obciążenia materiałem z innych przedmiotów, jest przyczyną nikłego zainteresowania młodzieży literaturą?

Sesja oczywiście nie wypracowała gotowych recept. nie ulega jednak wątpliwości, iż szkoła polska musi ulec głębokim przemianom w duchu wolności i demokracji. Przy czym wolność ta nie może być rozumiana jako przyzwolenie na spełnianie wszelkich ulotnych zachcianek, ale jako prawo nieskrępowanego wyboru wartości.

Beata Nawrot

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

je też z jerozolimską „Gazetą Polską”, wydaje socjalistyczny kwartalnik „Wolność” (w którym niżej podpisany był młodocianym nieetatowym korektorem) i kończy pierwszą redakcję *Książki o Kołymie*, która wtedy nosiła tytuł: *Nie ma dna w nieszczęściu ludzkim*.

Książka przechodziła rozmaite, często wprost nieprawdopodobne perypetie. Píše o tym Jan Bielatowicz:

„Jego skrypt odrzucono kilkakrotnie, dwukrotnie gubiono, znaleźli się nawet „lepiej wiedzący”. Była zatem w wieloletnim deptaniu pisarza po korytarzach redakcyjnych i przedpokojach wydawnictwa nie tylko budzących podziw, wierność postaniu i idei, ale też zawstydżającą, upokarzającą małoduszność arendarzy sprawy polskiej i polskiej kultury. Wydeptał wreszcie chodnik dla swej książki przez tajną polskiego sumienia”.

Książka o Kołymie została napisana na osobiste zamówienie prof. Stanisława Kota, ówczesnego ministra Informacji i Dokumentacji rządu londyńskiego. To też częściowo tłumaczy jej późniejsze losy. Książka musiała się przedzierać przez rozmaite komórki Oddziału Kultury i Prasy Drugiego Korpusu we Włoszech, a Kot nigdy nie był popularny wśród wojska. Miała być świadectwem prawdy, tak jak go o to zaklinali więźniowie kilkunastu narodowości, o bezgranicznej niedoli ówczesnego niewolnika sowieckiego. Mam całą teczkę korespondencji, kilkadziesiąt stron maszynopisu, łącznie z telegramami oznajmującymi, że książka już jest w druku, że zaliczka już w drodze — i o tym, że książka zginęła. A ginęła dość często.

Dopiero po latach, czytając książkę Kazimierza Zamorskiego o stosunkach panujących w Biurze Dokumentów i Biurze Studiów Drugiego Korpusu we Włoszech (*Dwa Tajne Biura 2 Korpusu*, Poets and Painters Press, Londyn, 1990), przez które książka musiała się w początkowym stadium przedzierać, zrozumiałem dlaczego ginęła i zginęła. Ich własne publikacje na pokrewny temat, choć w innym ujęciu, miały pierwszeństwo. Nie chodziło o sprawę, chodziło o prestiż, choćby tylko o awans i interes. Widać to w opisanym tam skandalu w związku z autorstwem książki o Zbrodni Katyńskiej, sprawie, która trwała całe dekady. Kto ją napisał: Józef Mackiewicz, Zdzisław Stahl czy też zgola generał Władysław Anders, który też się pod nią podpisał, kiedy ukazała się w języku francuskim.

Kołyma wychodzi dopiero wtedy, kiedy dyrektor londyńskiego katolickiego wydawnictwa Veritas, Józef Kisielewski, postanowił wydać książkę metodą subskrypcji. I nagle pękła bomba — wszystko się zmieniło. Książka, która gotowa była od sześciu przeszło lat, którą wszyscy odrzucali i którą prawie że pomiatali,

ANATOL KRAKOWIECKI - KRAKOWSKI KOŁYMIAK

zrobiła sensację wydawniczą. Po ukazaniu się polskiego wydania idzie w odcinkach w „Le Figaro”, i w „La Libre Belgique”. Wychodzi, ale już po śmierci Anatola, francuskie wydanie książkowe, głównie staraniem Romana Fajansa. Przedwczesna śmierć położyła kres zapoczątkowanym pertraktacjom na wydania angielskie, hiszpańskie i portugalskie.

W r. 1949 wykańczył komedię *Dom pachnie sianem*. Pomysł do niej zrodził się jeszcze w Jerozolimie, w 1944 r., kiedy w „Jednodniowce Noworocznej” ukazał się obrazek sceniczny, potem rozszerzony do rozmiarów trzyaktówki. Jest to komedia przyszłości. Rzecz dzieje się w kraju, w kilka lat po naszym powrocie. Przeznaczona dla teatru emigracyjnego, miała być grana w londyńskim Ognisku. Mimo zaawansowanych prób, sztuka ta niestety nie doczekała się wystawienia. Zabrakło czasu. Pośmiertnie już drukował ją w odcinkach Tadeusz Jardeł w wydawanym przez siebie dwutygodniku „Głos”.

W marcu 1950 r. „La Libre Belgique”, zaprosiła Krakowieckiego do Brukseli, po drodze zatrzymał się na parę dni w Paryżu, na zaproszenie „Le Figaro”. Te dwa tygodnie osłodziły mu lata niepewności. Zaczął snuć plany... marzyć. I nagle ów fatalny wieczór 7 kwietnia 1950. Wielki Piątek. Przewalili się przez próg, dzwoniąc do przyjaciół. I tak się skończyła historia człowieka, który przetrzymał Kołymę. Ale umarł spełniwszy przyjętą na siebie misję przekazania światu prawdy, obowiązku, uroczystego świadectwa o tym dniu ludzkiego nieszczęścia. Dotrzymał przyrzeczenia danego współwięźniom, którzy go zaklinali: Jak wyjdiesz to napisz! Napisz całą prawdę! Niech świat się dowie! Ale świat nie był jeszcze wtedy tym wszystkim zbytnio zainteresowany. Stąd krzyk serca na stronie tytułowej:

Przed skamieniałym sumieniem świata —
składam niniejszym ZEZNANIE.

Roman Stefanowski

WYDAWNICTWO JAGIELLONIA S.A.

31-072 KRAKÓW, UL. WIELOPOLE TEL. CENTRALA (0-12) 22-75-88, FAX (0-12) 22-08-78, TELEX 322-795 KONTO B.P.H. W/O KRAKÓW 323431-95400-136

zaprasza do współpracy z tytułami prasowymi:

DZIENNIK POLSKI

KOMANDOS

MILITARNY MAGAZYN SPECJALNY

BĄDŹ ZDRÓW

RECEPTA NA ŻYCIE

PRZEGLĄD NIERUCHOMOŚCI

BIURA OGŁOSZEŃ

• Kraków, ul. Wiślna 2, tel./fax (0-12) 22-70-89 • Kraków, ul. Wielopole 1, tel. (0-12) 21-45-72 •

AGENCJA REKLAMOWA

• Kraków, ul. Wiślna 2, tel./fax (0-12) 22-19-45 •

REKLAMA U NAS TO DOBRY INTERES

10

Dekada Literacka

Gorycze wielkie i małe

Włodzimierz Maciąg

Dotkliwa może być gorycz wolności. Drażni nas dookoła mnóstwo rzeczy. Ale czy trzeba zaraz o tym krzyczeć, publikować oświadczenia, pisać artykuły? Należy cieszyć się raczej, że tak mało kosztowała. Bo za wolność płaci się z reguły bardzo drogo. A my mieliśmy wyjątkowe doprawdy szczęście: nadeszła – jak dobra wróżka – na samo zaklęcie. Więc nie trzeba zrzędzić, że jest, jak jest, bo doprawdy mogło być i zazwyczaj bywa – znacznie gorzej.

Kierując się tym rozumowaniem milczę więc i zamykam oczy na niejedno. Uspokój się, myślę sobie. Tyle dostałeś za darmo. Bez ofiar, bez większego trudu, bez nieszczęść. W końcowym rachunku jesteś wygrany i to wysoko. Więc nie bądź malkontentem. I pogódź się na przykład z widokiem wolnego sejmu, jaki podaje ci telewizja. Ostatnio widziałem tam scenę, jak pewna posłanka miotła się w mównicy bez głośni, bo marszałek uznał, że przemawia poza porządkiem i najzwyczajniej wyłączył jej mikrofon. Zaczęłam, jak idiota, krzyczeć do telewizora. Dlaczego wrzeszczysz, uspokój się – mówi żona. Rzeczywiście, dlaczego mam wrzeszczeć? To przecież wolny sejm Rzeczypospolitej. To nie jest żadne chamstwo, marszałek jest w porządku. Że posłanka ma mój mandat? Że jest kobietą? Że istnieje coś takiego, jak dobre wychowanie? Uspokój się, powiedziałem sobie, posłanka powie swoje kiedy indziej, masz swój wolny sejm i niech ci to wystarczy. Rachunek wolności i sobiepaństwa jest summa summarum korzystny.

A jednak są rzeczy, wobec których nie sposób milczeć i przechodzić do porządku. Wolność ma swoją cenę, dobrze, ale to nie znaczy, że godzić się mam z barbarzyńskim niszczeniem dóbr. Z idiotyzmami, które osłaniają się w dodatku jakimiś pozorami rachunku ekonomicznego. Że godzić się mam z niszczeniem wydrukowanych już, wysoce wartościowych i nie wprowadzonych do obiegu książek. Setek tytułów i milionów egzemplarzy książek najwybitniejszych pisarzy piśmiennictwa światowego. Informuje mnie oto gazeta, że przedsiębiorstwo, które nazywa się Składnica Księgarska, ma w magazynach książki wartości wielu miliardów złotych. Przedsiębiorstwo dorobiło się kolosalnych długów i będzie zlikwidowane. Nie można podobno tych książek sprzedać ani podarować komukolwiek, ani rozdać po prostu, bo to wszystko bardzo dużo kosztuje. I obliczono, że najtaniej będzie wywieźć te książki do fabryki papieru, pociąć i poszarpać na strzępy, zalać kwasem i z tej glajdy zrobić nowy papier, najgorszego zresztą gatunku. Tak więc rachunek ekonomiczny odstawia się w swoim groźnym budzącym absurdzie. Ilu ludzi i ile lat nad tymi książkami pracowało? I jakie wśród nich umysły. Jaki potencjał wiedzy, światłości, dobra duchowego i innych szlachetnych rzeczy. Przerzynam, bo jakkolwiek rację przypomnę albo

sobie wymyślę, odbije się ona jak od ściany od tego bezmyślnego potwora: rachunku ekonomicznego.

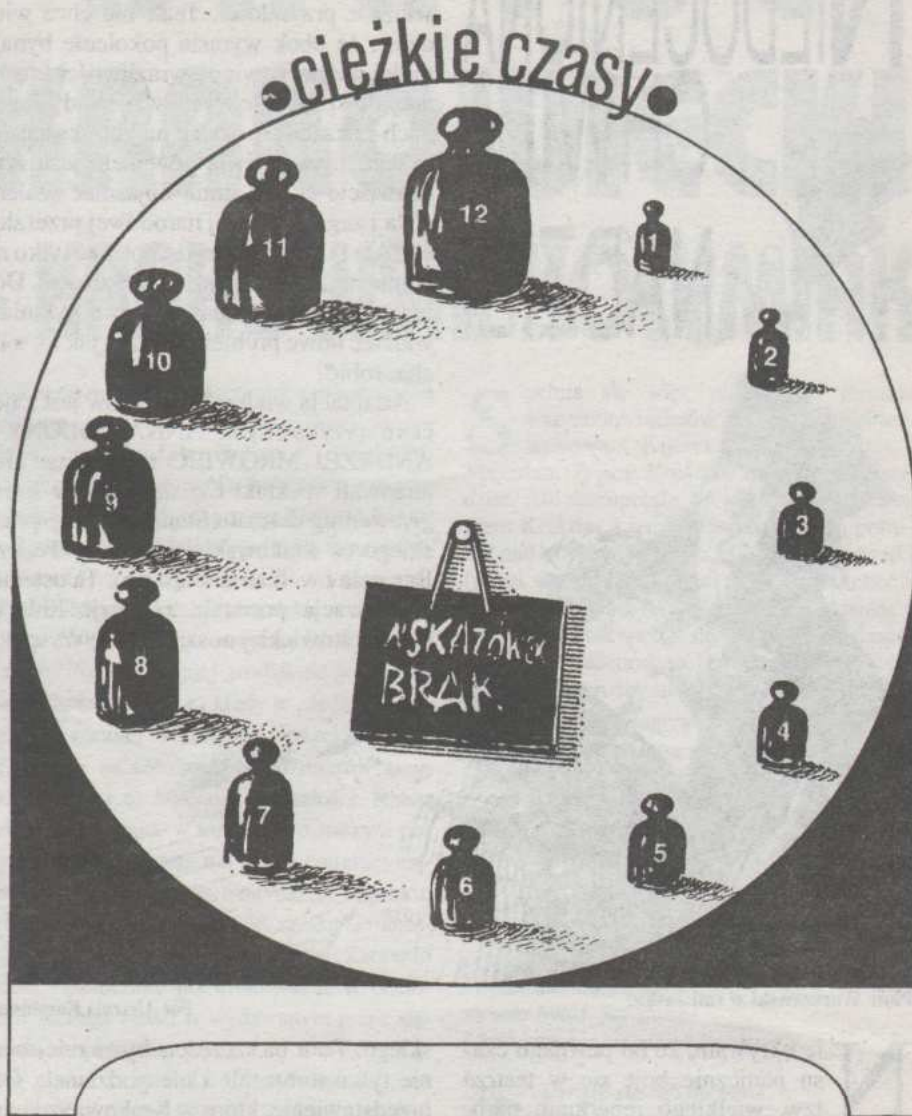
Niszczenie dóbr kultury ma swoją własną tradycję i swoją bogatą symbolikę. Od tysięcy lat niszczą się wzajemnie następujące po sobie cywilizacje. Rzymianie zniszczyli kulturę Etrusków. Chryścianie burzyli pogańskie ołtarze i posągi. Potem podbijają kulturę Ameryki. Potem mamy jakiś czas spokój, tyle że barbarzyństwo wojen dalej robi swoje. I dopiero systemy totalitarne wymyśliły nowe powody niszczenia dóbr, a przede wszystkim niszczenia książek: ponieważ kalają one prawdę jedynie słusznych idei. Nie wiem, czy ktoś policzył, ile książek i jakich książek poszło na przemiał w latach stalinowskich. A przecież wycofywano i mielono książki także później, prawie do końca PRL-u. Ile wysoce wartościowych rzeczy zniszczyła cenzura? Ile dobra i światłości bezmyślnie wdeptano w błoto?

Są to sprawy dobrze znane wszystkim, którzy z książkami mieli do czynienia. A przypominam je dlatego, że ideologicznie motywowane niszczenie dóbr kultury było jednym z podstawowych argumentów niezgody na system. Żelazna kurtyna ze wszystkimi jej mechanizmami była dla wielu, także dla mnie, większym nieszczęściem niż marionetkowy sejm. Oczywiście, oczywiście, jedno związane było ściśle z drugim. Mówię o tym po prostu, co się w praktyce odczuwało najdotkliwiej i na co dzień: o tej głuchej, betonowej ścianie, której symbolem jest idea jedynej słuszności.

I oto mamy wolność. Nie ma już książek jedynie słusznych, nie ma zatem i niesłusznych. Może jeszcze nie bywa tak w praktyce, ale tak w każdym razie być ma, chcemy, by tak było. Kto odważyłby się niszczyć wartościowe książki? Jaki motyw uzasadnić mógłby podobne barbarzyństwo? Otóż znalazł się taki motyw. Nie o słuszność tym razem chodzi, ale o bezmyślnie, ordynarne pieniądze. Książka staje się towarem, nieodróżnialnym w tym sensie od kartofli albo gwoździ.

Odwieczne barbarzyństwo przywdziewa inną maskę, za którą kryje się przecież ta sama bezmyślność i ta sama pogarda dla wartości nie dających się utylizować. Dla tego, co nieważkie. Ja nie wiem, kto jest za ten wandalizm „bezpośrednio” odpowiedzialny. I nie próbuję nawet radzić, jak można by go uniknąć. Fakt nabiera jednak nieuchronnie wymowy symbolu. Nie wolno się z tym godzić, nie wolno do tego dopuścić. Czy to nie my sami powinniśmy tu przejść inicjatywę, my pisarze – dla których książka jest jednym z najcenniejszych dóbr, które uzasadniają nasz zawód, czy zgoła nasze istnienie? Czy nie ma w naszym kraju innych organizacji, którym podobne rzeczy leżą na sercu, związków, stowarzyszeń, w końcu partii politycznych? To się stać nie może, byłby to jawny sukces zbiorowej głupoty.

TEATRZYK RYSUNKOWY



Rys. Aleksander Piernik

HYDE PARK czytelników

Dziś przytaczamy jeden z wierszy z bogatego zestawu (poezja, proza, esej) nadesłanego nam przez ROBERTA GEISLERA z Katowic, studenta socjologii i filozofii Uniwersytetu Śląskiego. Podoba nam się prostota i niewymuszona refleksyjność tego utworu.

Daję, abyś Ty mi dał.
Daję Ci dobre słowo,
uśmiech i radę w
każdej chwili.
Daję Ci spokój i
bezpieczeństwo przed
obcym.
Daję Ci owoce mojej
pracy, które utwierdzają
Cię w twojej
egzystencji.
Daję Ci wreszcie
całą swoją osobę,
z jej wszelkimi
przymiotami.

A co Ty mi dajesz
Człowiecze?...

WITOLD TURDZA ODKRYWA NIEZNANE ARCYDZIELA

Twórczość Seweryna Goszczyńskiego nie jest jeszcze do końca poznana. Wynika to stąd, że wiele jego utworów drukowano w czasopiśmie, niektóre wydawano wiele lat po napisaniu, część pozostawała w rękopisach. Sam poeta napomyka w pamiętniku, że jego wiersze krążące w odpisach nierzadko ginęły, a oryginały ktoś spalil z obawy przed wykryciem. Nic dziwnego. Twórca *Larwy niedoli* brał udział w tajnych związkach, które ciągle były wykrywane. Sam musiał zmieniać miejsca pobytu, wreszcie emigrował. Obawy nie były więc bezpodstawne.

W 1830 r. w „Nowej Polsce” ukazał się utwór pt. *Uczta zemsty*. Uznany za jeden z najbardziej radykalnych społecznie wierszy poety, pisany po kryjomu w spiżarni, przy świecy, powstał sześć lat wcześniej. Już wtedy Goszczyński był żywo zaangażowany w działalność spiskową. Wiersz jest niejako manifestem jego postawy. Tymczasem nie jest on kompletny, czego dotyczył nikt nie przypuszczał, bowiem nie znano rękopisu *Uczty zemsty*. I oto zupełnie niedawno w archiwum we Lwowie (gdzie autor *Zamku kaniowskiego* spędził ostatnie lata życia) przypadkiem znaleziono rękopis utworu. Znajduje się on wśród dokumentów dotyczących Michała Grabowskiego, przyjaciela poety, u którego ten jakiś czas mieszkał. Jest to odpis całego wiersza, spisany zapewne przez Grabowskiego, który był wielbicielem talentu swego przyjaciela. Czy wydając drukiem utwór poeta sam zrezygnował z fragmentu czy też była to ingerencja cenzury, trudno ustalić. W pamiętnikach Goszczyński nie o tym nie wspomina. I gdyby nie szczęśliwy traf, nie dowiedzielibyśmy się jaka jest cała *Uczta zemsty*. Przekonuje on, że w archiwach jeszcze niejedna ciekawa rzecz czeka na odkrycie.

Seweryn Goszczyński

Uczta zemsty

Śród nieba kirów zawieją rozdętych
Długim się migiem błyskawica pali.
Porze żmijowym blaskiem te odmęty
I wraz na dzikiej nawalniczy fali.
Z wnętrzości piekła, z loskotem szkaradnym
Tuman wylata mętny i rozjadły;
Szata ich świeża jako z żumala.
W obojem rękę weksel i szala.
Ha! Spekulanty, lichwiarze, bankiery!
Oko wzgardliwe, uśmiech nieszczerzy,
Język kłamliwy, spodlenie w czynach —
Sztylet w rękę, w czasie zemsty wina!
Kto wszelkie czucia i myśli wysiła
Jak żeby wszystko co wzrok dosięga
Schłonęła wielka złota potęga —
Kto życie jedną ponętą umiła,
Rzęsnym olśniony błyskotem:
Pieniądzem, wekslem i złotem.

Kto lupi aby nazbierać zasobu,
Cóż, nieobaczny gdy stanie u grobu,
Taki zysk czerpa, gdy w zimnej rachubie
Nie pomni, szydny, o duszy zagubie.
Kto bliźnich puszcza o torbie żebraczej,
Kto lichwą dręczy rodzaj człowieczy,
Komu niestraszne olganych placze
A zysk czerpa z każdej rzeczy,
Kto plugawa duszę hardą
Karmi jeno ludzi wzgardą,
Ten jest godzien wypić z nami
I zakąsić sztyletami!

CHÓR

Pijmy, pijmy krwawe czary!
Zemsta za zhańbioną ziemię!
Śmierć kapłanom nowej wiary!
Niech zginie padalecze plemię!